

Lewe status quo

18 maja 2010

Bronisławowi Komorowskiemu udało się powiedzieć coś wnikliwego i trafnego.

W swoim pierwszym wystąpieniu po katastrofie z 10.04, stwierdził on, że w Polsce nie ma już lewicy i prawicy. Miały one zjednoczyć się w żałobie oficjalnej, ogłoszonej pod hasłem: wszystkim nam jest przykro, a nawet płaczemy.

Aby sprawić przyjemność marszałkowi-kandydatowi, lewica faktycznie zanikła. Nie idzie o to, że sama nie jest przekonana do proponowanego przez nią prezydenta RP – trudno więc, żeby pozyskała dla niego zbyt wielu wyborców. Z całym szacunkiem dla Jerzego Szmajdzińskiego, trudno sądzić, żeby jego kampania – gdyby nie przerwał jej 10 kwietnia – wytworzyła istotną jakość polityczną. Można jednak doraźnie przegrać i wycofać się na margines, a jednak zachować pewne możliwości rozwojowe. Ich właśnie polskiej lewicy zabrakło.

Orientacja kojarzona z krytyką, sprzeciwem i buntem, broni teraz status quo. Najbardziej uchwytnie hasło jej kandydata na prezydenta i reprezentacji parlamentarnej brzmi: zatrzymać powracającą IV RP. Lecz nawet wiecznego trwania Rzeczypospolitej z obecną liczbą porządkową, na którym jej tak zależy, broni ona bez wiary w siebie. W latach 2005-07 lewicowe mózgi od PR wymyśliły zagrożenie faszyzmem, użalały się nad lustracyjnymi kozłami ofiarnymi i mogły się nawet pochwalić męczeńską legendą Barbary Blidy. Teraz w ich sztabach uświadomiono sobie, że ostre klimaty „anty kaczystowskie” przestały mieć wzięcie. A zresztą lewica SLD-owska ze swej natury, nabytej pod przywództwem Aleksandra Kwaśniewskiego (żeby nie wspomnieć o czasach generała, które pamięta jej stara gwardia), występuje przeciwko „dzieleniu Polaków” i „skłócaniu rodzin”. Nawołuje: żyjmy i dorabiamy się w spokoju. Teraz to ona, a nie prawicowa konserwa, jest

rodziną Połanieckich.

Lewica obecna w polityce realnej, swoją siłą spokoju nudzi na śmierć. Trochę ożywienia próbuje wprowadzić za to jej odmiana „dyskursywna”. Gdy przez miesiąc musieliśmy się obywać bez Janusza Palikota, próbował go – na użytek węższego grona medialnych konsumentów – zastąpić felietonista „Krytyki politycznej”, Tomasz Piątek. Pomijając ton i styl, lewicowi wyjadacze z kuluarów sejmowych i zaadaptowanych do rynku nisz kontrkulturowych, tak naprawdę mówią to samo. Według ich rad, mamy wyemancypować się od „mitów ofiarniczych”, „rytuałów żałobnych” i „cywilizacji śmierci” (czyli, mówiąc bez ogródek, pogonić „oszołomów”) oraz kierować się realizmem politycznym.

Właśnie te dwa hasła, emancypacja i realizm, są (szczególnie w połączeniu) objawem paraliżu lewicy. Pierwsze pochodzi z importu, drugie jest tworem lokalnym. Od niego zaczniemy.

Polskie elity umysłowe nawróciły się na realizm po roku 1945. Decydował o tym nie tylko przymus z zewnątrz. Wbrew obietnicom romantycznych mesjanistów, niepodległe państwo nie odrodziło się dzięki ofierze krwi. Wobec pojałtańskiego układu sił nie istniał właściwie inny wybór niż kapitulacja na względnie honorowych warunkach. Skoro nic nie mogło wyniknąć z walki, pozostawała praca organiczna w przemyśle, szkolnictwie czy wydawnictwach. Za realizmem opowiadali się więc nie tylko przedwojenni narodowi demokraci, dla których było to naturalne. W cyklu opowieści o historii Polski głosił go na przykład Paweł Jasienica, który niedawno próbował walczyć do końca w oddziale AK. Liberalni wolnomyśliciele, którym za forum do roku 1939 służyły „Wiadomości literackie”, spotkali się na jego gruncie z katolickim „Tygodnikiem Powszechnym”. Przede wszystkim jednak, realizm stał się wspólnym językiem, którym nowa władza – unikająca początkowo zapowiadania dyktatury proletariatu – porozumiewała się z inteligencją.

Temu pogładowi na świat nie da się odmówić zasług. Zachęcał on, by – zamiast nadsłuchiwać wieści z Londynu – zatrudniać

się przy odbudowie starych fabryk i budowaniu nowych. Jego zwolennicy, broniąc się przed utonięciem we wspomnieniach o „kraju lat dziecińczych”, rozwijali umysłowo siebie i innych. A po śmierci Stalina, oddziaływanie realistów politycznych zapobiegło powtórzeniu się w polskiej stolicy krwawych wydarzeń z Budapesztu.

Sukces oznacza jednak trudną próbę dla nurtu umysłowego, który je odnosi. Hasła zwycięzców, niegdyś świeże i twórcze, zamieniają się w obowiązujące konwencje. Podczas rządów Gomułki, szyderstwa z przegranych powstań, bohaterszczyzny, ofiarstwa i romantycznych dzieci we mgle potrafiły jeszcze znajdować interesujący wyraz (w „Indyku” czy „Śmierci porucznika” Mrożka, w „Lotnej” lub w „Popiołach” Wajdy). Ale stopniowo schodziły na poziom standardowego numeru w kabarecie czy felietonie. W tej mutacji bawiły mniej więcej tak samo, jak żarty z „kaczek”, „kartofli” czy „romanorydzów”, w których do niedawna specjalizowały się Szkło kontaktowe i Tok Fm.

Z konkurencyjną wobec nich ofertą wystąpiła ekipa chętnych do zastąpienia długowiecznego towarzysza „Wiesława”. Jej zdaniem, społeczeństwu – skoro już miało ono pogodzić się z przyjaźnią polsko-radziecką i przaśnym zaopatrzeniem sklepów – należało zapewnić igrzyska historyczne z księciem Józefem i majorem Hubalem w głównych rolach. Szansę stworzoną im przez rozgrywki w obozie władzy próbowali wykorzystać wyznawcy tradycji powstańczo-niepodległościowej. Leszek Moczulski, a chyba i Zbigniew Załuski, idąc na taktyczne ustępstwa wobec partyjnego obrazu przeszłości, przemycali sądy rehabilitujące Kościuszkę, Legiony, podchorążych, Traugutta i AK. Ostatecznie – sugerowali – „Wiesław” i PPR kiedyś także wzywali, nie inaczej niż tamci, do walki z obcym panowaniem nad ojczyzną. A czy „Manifest komunistyczny” opierał się na założeniach bardziej realistycznych niż wcześniejsze tylko o kilkanaście lat powstańcze koncepcje Maurycego Mochnackiego? Powstanie Styczniowe miało chyba więcej szans na sukces niż Komuna Paryska.

Historycy neoromantyczni radzili sobie całkiem nieźle w rzeczowych sporach z realistami. Potrafili wykazać, że Polska we wrześniu 1939 nie wypadła najgorzej w porównaniu do Francji z czerwca 1940 (a także – czego, ze względu na cenzurę, nie mogli dodać wprost – do ZSRR z lat 1941-42). Mrówczym badaniem źródeł udowadniali, że armia Królestwa Polskiego wygrałaby po listopadzie 1830, gdyby jej wódz naczelny słuchał rad generała Ignacego Prądzyńskiego. Tak więc powstania miały sens?

Próby wywołania renesansu świadomości narodowej zbiegły się jednak fatalnie z wydarzeniami marcowymi. Wśród atakowanych wtedy mniej lub bardziej jawnych przeciwników systemu PRL-owskiego upowszechniło się wówczas – faktograficznie rzecz biorąc, absurdalne – zrównanie: kult powstań = Polska międzywojenna = faszyzacja = antysemityzm.

Z drugiej strony, w miarę jak zacierały się wspomnienia wojenne, trudno było przekonująco ostrzegać, że jeśli nie będziemy trzeźwi i ostrożni, to powtórzy się hekatomba Powstania Warszawskiego. Mgliście sobie przypominam, że kiedyś zaproponowałem szkolnym kolegom, abyśmy pobawili się literkami do haseł na akademię rocznicową: byłoby ciekawiej, gdyby zamiast „Lenino” wyszedł nam chociażby „Katyń”. Lider klasowy upomniał mnie surowo: wygłupiaj się na swoje konto, ale dlaczego chcesz, żeby twoi rodzice wylecieli z pracy? Ta skromna anegdota świadczy, że realizm polityczny u schyłku PRL sprowadził się do ciasnych zdroworozsądkowych kalkulacji. Wzywał do pogodzenia się z „małą stabilizacją”, w której podłożu – jak to ujął Różewicz – „coś gniło”.

Realiści i neoromantycy trwali w brzydkim klinczu. Jedni i drudzy nadawali się do wyeksploatowania przez władze PRL, które urządzały akademie na cześć powstań narodowych, odstraszać równocześnie od ich naśladowania. Wielu w obydwu obozach, nie bez pewnych korzyści dla siebie, na to się godziło. Opozycjonistów z dekady gierkowskiej powszechnie wyśmiewano jako ówczesnych „oszołomów”, a nawet „świrów”. Ale, jeśli ktoś nie chciał zadowolić się odkładaniem na małego

Fiata, to siłą rzeczy natrafiał na ich biuletyny i zebrania, nie mogąc niczego odnaleźć w martwych strukturach oficjalnych.

Sierpień 1980 r. ożywił nadzieje neoromantyków, ale w stanie wojennym realiści mogli im wypominać: a jednak wyszło na nasze. Tyle, że ich z kolei aż prosiło się zapytać, co nam dało, że Rosjanie nie wjechali, skoro mieszkanie w bloku jest do kupienia tylko za czarnorynkowe dolary. Takie przekomarzanie urwał historyczny kataklizm.

Po upadku ZSRR, realiści znaleźli się w położeniu Azteków doświadczających najazdu hiszpańskich konkwistadorów. Zgasło słońce, w które byli zapatrzeni. Przecież od pół wieku zapewniali, że Związek Radziecki był, jest i będzie. Musimy mu składać ofiarę ze swoich marzeń o niepodległości – wzywali – bo przestaniemy istnieć. Tymczasem historia wydawała się być po stronie „oszołomów” w rodzaju Moczulskiego. Rosja, spadkobierczyni ZSRR, wróciła do rozmiaru terytorialnego i znaczenia z XVII wieku – i to sprzed dokonania aneksji lewobrzeżnej Ukrainy.

Samopoczucie realistów uratowały wady transformacji. No tak – pocieszali się – ledwo do władzy dorwali się romantycy, już w Sejmie są awantury, a nad wschodnią granicą słychać brzęk szabelki. Przyznajmy, że tacy wybitni realiści, jak Bronisław Łagowski czy Andrzej Walicki, nieraz boleśnie zakłócali samozadowolenie architektów III RP.

Mimo to, mylili się prawie całkowicie. Postsolidarnościowi liderzy przemian ustrojowych zawiedli nie dlatego, że ulegali mitologii o romantycznym rodowodzie. Ich grzechem – paradoksalnie – był raczej przesadny realizm. To on bowiem kazał im wmówić sobie, że po kompromitacji realnego socjalizmu „nie ma innej drogi” niż twardo neoliberalna. Zaś tej kapitulacji umysłowej towarzyszyło, utrwalając ją i wzmacniając, skwapliwe przyjęcie oferty bogacenia się bez troski o swe społeczne zaplecze, którą przy Okrągłym Stole podsuwał gościnny generał Kiszczak.

Ale decydujący cios zadała realistom – tak dobrze, według ich zapewnień, znana im Rosja. Dzielili się oni swoim przeświadczeniem – czy raczej dogmatyczną wiarą – że państwo to pozostaje wielkim mocarstwem, z którym świat nie przestaje się liczyć. Prędzej czy później – dodawali – jak to się już kiedyś stało, Moskwa „zbierze ziemię ruską”, odtwarzając w części lub w całości swe imperialne granice. A gospodarcza i technologiczna rekonstrukcja pozwoli mu grać ważną partię w koncercie globalnych mocarstw najmniej w tym stopniu, co Rosja carów, jeśli już nie Związek Radziecki z epoki powojennej.

Oceny te nie były zbyt trafne. Mit putinowskiej stabilizacji podważają tyleż wybuchy bomb na stacjach metra, co – świadczące o rozsypywaniu się przestarzałej infrastruktury – wypadki w kopalniach (pomijając już lotniska). Faktyczni władcy dzisiejszego świata nie tyle Rosję szanują, co się nią posługują dla swych korzyści gospodarczych (jak Niemcy) czy gier geopolitycznych (wzorem Stanów Zjednoczonych, które zajęły Afganistan przy znacznej, wywiadowczej i logistycznej pomocy rosyjskiej). Celami strategicznymi, które swojemu krajowi wyznacza prezydent Miedwiediew, są – skąd my znamy tę melodię? – modernizacja według wzorów zachodnich oraz staranie się o członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

Związek Radziecki przerażał, ale i fascynował – wszystko jedno: hydroelektrowniami, katuszami, sputnikami czy genialną twórczością Eisensteina i Szostakowicza. Państwo Putina i Miedwiediewa – biorąc w nawias emocjonalne reakcje na 10 kwietnia – w najlepszym dla niego razie wzbudza chłodny dystans. Ledwo ledwo potrafiło ukarać za granie mu na nosie mikroskopijną Czeczenię i tylko trochę większą Gruzję.

Tymczasem realistom (sądząc chociażby z publikacji Bronisława Łagowskiego) katastrofa smoleńska zagrała swoiste larum. Za wszelką cenę – odkrzyknęli – trzeba powstrzymać „oszołomów”, którzy szykują się podjudzić naród do rzucenia się szlakiem Żółkiewskiego na (nomen omen) Smoleńsk i Moskwę. W imię tego wątpliwie szczytnego i niezbyt realistycznie (znów nomen omen)

pomyślanego celu gotowi byli akceptować – albo wręcz współtworzyć – kampanię dezinformacyjną (rzekome cztery próby lądowania, urojona piąta osoba w kabinie pilotów itd.), w którą zamieniło się śledztwo w sprawie tej katastrofy.

„Oszołom” – według realistów – nie zadowoli się ubraniem nas w kamasze i pogonieniem w okopy frontu wschodniego. Chce on także zamęczyć Polaków wewnętrznymi awanturami i pogromami.

I tutaj realiści się mylą. Naszym głównym problemem nie jest spóźniony bojownik antykomunistyczny czy zaciekrzewiony tropiciel złodziei i agentów (choć postacie z takimi wyolbrzymionymi skłonnościami zdarzały się w minionych dwóch dziesięcioleciach). Stanowią go raczej klikowy gracz polityczny, skorumpowany biznesmen, zakłamany komentator czy prezenter lub wreszcie nadmuchany autorytet. Im nie ma sensu wyrzucać „oszołomstwa”, bo są realistyczni aż do bólu. Przecistawianie się im wymaga natomiast sporej dawki romantyzmu.

Rzecz ciekawa. Realiści albo przestali już dawno być marksistami, socjalistami czy nawet lewicowcami, albo (jak wspomniani tu Łagowski i Walicki) nie byli nimi w ogóle. Z radykalnie lewicowymi – według swych deklaracji – krytykami „systemu”, „globalizacji”, „postpolitycznego”, „kasynowego” i Chomsky wie jeszcze jakiego kapitalizmu wszystko więc powinno ich dzielić, nic natomiast łączyć. Tymczasem ci i tamci dosłownie z dzióbeków sobie piją. Tak samo tępią romantyzm i zalecają realizm. Od 10 kwietnia, „postkwaśniewski” „Przegląd” i nowolewicowa „Krytyka Polityczna” w jednym stoją domu.

Polscy epigoni zachodniej nowej lewicy na miejsce startu wybrali pułapkę, w której wylądowały ich wzorce ideowe. Zaczęli tam, gdzie trybun francuskiego Maja 1968, Daniel Cohn-Bendit, się skończył. Za swe zadanie uznają wyzwalenie od tego, co krępuje, ogranicza, represjonuje i dyskryminuje – to jest, w pierwszym rzędzie, więzi narodowych, lokalnych, tradycyjnych czy wyznaniowych.

Gdyby żyli w XIX wieku, mieliby sporo słuszności. Teraz jednak grzeszą nie tylko anachronizmem umysłowym, ale – często – również służeniem złej sprawie. Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do bombardowania Jugosławii, europarlamentarzysta Cohn-Bendit wezwał żołnierzy jej armii do dezertowania. Co to za kontestator, który (tyle, że dziwniej i mniej skutecznie niż neokonserwatyści) wspiera największą potęgę wojskową w historii?

Polska, na szczęście, nie jest w konflikcie z USA. Przypuśćmy jednak, że napadłyby nas formacje paramilitarne jakiejś podrzędnej mafii, powiedzmy, ukraińskiej. W takim wypadku, nowolewicowi komentatorzy ogłosiliby natychmiast, że nie wolno przed nimi się bronić. Bo i co to będzie, jeśli któryś z naszych żołnierzy zginie? Nie daj Bóg, jego rodzina zechce go pochować, na zwołaną przez nią stypę przyjdzie kilku jego kumpli. I tak uformuje się rytuał złowróźbnej „cywilizacji śmierci”.

Niewiele lepiej, gdy Polacy zabiją ukraińskiego mafioso. Wtedy bowiem popełnią zbrodnię. Dopiszą tym samym kolejny paragraf do historii swojego narodu, w której prócz zbrodni – demaskowanych celnie chociażby przez Alinę Całą – niczego właściwie nie ma. Oczywiście, mitomania narodowa, w której Polak zawsze cierpiał jak Baranek Boży na Golgocie (chyba że akurat karał swych oprawców niczym Chrystus po Drugim Przyjściu), nadal domaga się przewietrzenia. Lecz stereotypy produkowane przez paranoiczną psychikę wychowywanego przez nową lewicę „samonienawidzącego się Polaka”, są od niej chyba jeszcze bardziej powierzchowne intelektualnie. Jeśli tak dalej pójdzie, Polacy tego gatunku zorganizują demonstrację pod Cedynią, żeby przeprosić cię margrabiego Hodona za ludobójcze wymordowanie jego wojowników.

Strach już myśleć, co by było, gdyby w hipotetycznych paramilitarnych jednostkach z Ukrainy służyły kobiety. A jeśli umundurowany Polak którąś z nich rozbroi? Tym samym spełni akt podkreślenia swej dominującej dystynkcji wobec genderu

dyskryminowanego. Jego występki zawoła o pomstę do trybunału feministek jeszcze głośniejszą niż „gwałty” Polańskiego.

Bełkotliwy dyskurs pseudokrytyczny dałby się spokojnie zignorować. Złości jednak, że jego producenci w co drugim felietonie się chwala, jak bardzo są niezależni i zarazem osamotnieni na tle narodowych orgii żałoby. A przecież dmuchają w jedną dudę – tylko że w mniejszym zasięgu – z propagandą partii rządzącej (o nazwie, zdaje się, Platforma Obywatelska) i głównych mediów (TVN, Polsat, Tok FM i „Gazeta Wyborcza”).

Tu i ówdzie wierzy się jeszcze w ich odkrywczność, nowatorstwo i nawet radykalizm. Konserwatyści starej daty widzą w nich spadkobierców Marksa, Lenina, Trockiego i Mao. Jest jeszcze gorzej – poucza w „Naszym Dzienniku” filozof polityki z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, ksiądz Guz. Jego czytelnicy komunikują sobie z przerażeniem, że polską nową lewicę wychowały jeszcze straszniejsze potwory. Są nimi Horkheimo i Adorner, autorzy – stokroć bardziej jadowitej od „Manifestu komunistycznego” – „Dialektyki zaciemnienia”.

Ta – mówiąc żargonem minionej generacji kontrkulturowej – „ściema” już się skończyła. Gdy w polityce panuje spokój, nowolewicowcy reanimują Lenina, żeby jakoś zabawić burżuja rozczytanego w dodatkach kulturalnych do gazet, w których mają etaty. Gdy jednak coś się dzieje, zwierają szyki pod sztandarem: Brońmy modernizacji, demokracji i liberalizmu.

Poczekajcie – odgrają się ich prorocy – aż zmodernizujemy Polskę. Wtedy się zadziwicie, jak potrafimy walczyć z kapitalizmem o jego ucywilizowanie. Nie zawalczą, choćby tego chcieli. Razem z modernizacją na modłę Platformy i jej medialnych sojuszników, przyjdzie Połaniecki XXI wiek. I nikomu już nie da podskoczyć.

Oczami duszy widzę spotkanie lewicowych ideologów status quo ze swoim bohaterem. Nastąpiło ono prawdopodobnie 18 kwietnia.

Na znak protestu przeciw krakowskim uroczystościom pogrzebowym, realiści i nowolewicowcy gaszą telewizory i wybierają się na spacer. Ich uwagę przyciąga Połaniecki, który akurat konsumuje danie z grilla, słuchając Toku.

– Gratulacje, szanowny obywatelu – odzywa się do niego Andrzej Walicki – nie poddaliście się psychozie antyrosyjskiej.

– Nie schwytali was na lep biali bolszewicy – wtóruje Bronisław Łagowski.

– Patriarchalne dystynkcje też cię chyba nie biorą, co? – mruga Kazimiera Szczuka.

– Kto wy jesteście, łobuzy czy świry!? – odpowiada idol współczesnej lewicy. – Spieprzać z mojej działki!

– Czy on nas nie wykluczył z debaty? – troszczy się Kinga Dunin.

– Odpierwiastkuj się od niego – interweniuje Cezary Michalski.

– Tacy jak on są bazą radykalnie lewicowego frontu na rzecz liberalnej modernizacji Polski.

– Dzięki niemu – wszyscy podsumowują chórem – jest NORRRMALNIE!

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)